H. B. Fyfe

Podróż okrężną drogą

(Round-and-Round Trip)

`

Galaxy Magazine, December 1960
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

Kiedy pasażerów z Epseri II przewieziono ze statku *Centauri Queen* do budynku administracyjnego portu kosmicznego, człowiek, który zgodnie z posiadanymi dokumentami nazywał się Robert L. Winstead, poprowadził innych do kantoru Agencji Podróży Międzygwiezdnych. To, że zajął on skromnie miejsce w pobliżu końca kolejki, pozostawało w całkowitej zgodzie z jego skromnym wyglądem.

Ze swoim średnim wzrostem, aczkolwiek z lekką niedowagą, Winstead wyglądał na zmęczonego urzędnika, który ma kłopoty ze snem w kosmosie. Szerokie spodnie jego konserwatywnego bordowego stroju, łopotały wokół szczupłych łydek mężczyzny, ujawniając fakt, że założył on jedną niebieską, a drugą zieloną skarpetkę.

Obsługa szła szybko; większość z dwudziestu paru pasażerów zamierzało pozostać tutaj, w na St. Andrew V. Jedynie paru, do których należał Winstead, posiadało bilety „do miejsca docelowego". Pozostali oni w kolejce, kiedy „miejscowi" zostali zabrani pod nadzorem przewodnika, który miał pokazać im przylegające do potu miasto.

Winstead w końcu dotarł przed oblicze urzędnika, ciemnowłosego, niezmiernie energicznego młodego człowieka. Podał mu swoje papiery. Młody człowiek przerzucił je, ostemplował datą przylotu w historii podróży, zgodną zarówno z miejscowym, jak i terrańskim kalendarzem, a potem wrócił raptownie do karty wskazującej miejsce docelowe lotu Winsteada. Pokręcił głową ze zmieszaniem i irytacją.

— Bardzo przepraszam, panie… ehmm… Winstead. Czy to, co mi pan dał, to na pewno jest właściwy bilet? Czy nie mógł pan pomylić go z czymś innym?

Podróżnik zakasłał i wydał z siebie kilka zmartwionych dźwięków sprzeciwu. Po jego niczym niewyróżniającej się twarzy, rozszedł się wyraz jakiejś nieokreślonej czujności i niepokoju.

Jego strąkowate siwe włosy zmierzwiły się trochę, kiedy zdjął z głowy i wepchnął do bocznej kieszeni ubrania, swoją dosyć krzykliwą, bordowo-białą kraciastą czapkę. To, wraz z faktem, że spoglądał na urzędnika z ogromnym respektem, nadawało mu wygląd typowego zagubionego małego człowieczka w niewłaściwej kolejce. Wrażenie to potęgowały staromodne okulary przeciwsłoneczne, które nosił zamiast kolorowych soczewek kontaktowych, i zapomniał je zdjąć przed popatrzeniem na bilet.

— No cóż… ehmm… tak, tak, to prawidłowy bilet — oznajmił. — Widzi pan, tutaj jest na nim moje nazwisko.

Urzędnik westchnął, rozglądając się wokół siebie, ale jego kolega był zajęty.

— Zdaje się, że ktoś tu nabił pana w novą, proszę pana — raczył w końcu wyjaśnić. — Zgodnie z tym dokumentem, miejscem docelowym pańskiej podróży jest Altair IV.

— Zgadza się, zgadza — potwierdził Winstead. — Lecę tam, by zorientować się, jakie są możliwości sprzedaży…

— I ci, z Epseri, wysłali pana tutaj? To nieprawdopodobne, proszę pana.

— Ale… przecież powiedziano mi… czy to nie ludzie z pańskiej Agencji dokonują wyboru trasy podróży?

— Tak, proszę pana, oczywiście. Poza lokalną terrańską sferą podróży, jest bardzo niewiele rozkładowych lotów pasażerskich, zaś większość statków służy do przewozu ważnych ładunków. To dlatego właśnie na pańskim bilecie określone jest tylko miejsce docelowe, i dlatego stworzono Agencję Podróży Międzygwiezdnych – aby organizowała ona lot podróżującego, etap po etapie.

— Tak — przytaknął Winstead. — Tak mi to właśnie wyjaśniano.

Urzędnik przez kilka chwil odpowiadał wzrokiem na jego zaniepokojone spojrzenie, a potem lekko się otrząsnął. Szturchnął pogardliwym ruchem palca bilet leżący na kontuarze między nim a Winsteadem.

— Pozwoli pan, panie… ehmm… Winstead, że powiem to tak prosto, jak to tylko możliwe — oznajmił bardzo cierpliwym tonem. — Ktoś, na ostatnim przystanku, wysłał pana w niewłaściwym kierunku.

— Ale… ale… sam pan właśnie powiedział, że to się odbywa etap po etapie. Zdaję sobie sprawę, że nie mogę podróżować w linii prostej. To zależy od tego, czy uda się panu znaleźć dla mnie właściwy statek, nieprawdaż?

Młody człowiek jeszcze raz rozejrzał się wokół siebie, w poszukiwaniu kogoś do pomocy, ale nikt nie był dostępny.

— Zobaczymy, co się da zrobić — oznajmił, kwaśno przyglądając się biletowi. Nacisnął kciukiem przycisk, aby wysunąć kawałek papieru ze szczeliny notatnika u szczytu lady i zaczął zapisywać coś na nim elektropiórem. — A teraz, jeśli pan pozwoli, proszę udać się z tą młodą damą do hotelu Agencji, wraz z pozostałym podróżującymi. Powiadomimy pana, o planowanym czasie odlotu odpowiedniego statku.

Winstead podziękował mu gorąco i odwrócił się, aby pójść odebrać swój bagaż. W warunkach narzucanych przez podróże kosmiczne, dozwolone było tylko absolutne jego minimum. Nawet pomimo tego, trzeba było poświęcić trochę czasu, na znalezienie jego torby – nieprawdopodobny wypadek, który odpowiedzialny urzędnik przyjął z wyrazem rezygnacji na twarzy.

W końcu, wraz z kilkoma innymi pasażerami, którzy mieli lecieć dalej, Winstead został przewieziony do hotelu na resztę dnia i nocleg.

Prawdę mówiąc, minęły aż trzy dni, zanim został wezwany. Tym razem, być może celowo, stanął przed obliczem innej osoby, potężnej dziewczyny o kwadratowej twarzy. Nerwowe pytania Winsteada odbiły się bez odpowiedzi od nieprzenikliwej tarczy jej spokoju. Otrzymał wszelkie informacje, jakie Agencja uważała za właściwe mu przekazać i odesłano go z osobistym przewodnikiem.

Przewodnik dostarczył go na pękaty pojazd, o nazwie *Stellar Streak*, ewidentnie statek towarowy. Jakimś sposobem uświadomił sobie to dopiero po wyjściu z siatki antyprzeciążeniowej, ale miejscem do którego leciał frachtowiec, był Topaz IV.

— Ależ, panie kapitanie! — zaprotestował. — Czy jest pan pewien, że ludzie w porcie kosmicznym nie popełniono jakiejś pomyłki? To jest mniej więcej w tym samym kierunku, z którego tutaj przybyłem!

Pilot z niecierpliwością popatrzył na podsunięte mu pod nos papiery.

— Nie wiem, proszę pana. Nasza praca polega tylko na doprowadzeniu statku tam, gdzie nam każą. Jedynym powodem dla którego przewozimy pasażerów jest fakt, że przepisy wymagają współpracy z Agencją. Ja sam, osobiście, nie wierzę w taką możliwość.

Pan Winstead westchnął i wrócił do swojej kwatery. Przynajmniej na tym statku ciągle jeszcze miał do dyspozycji prywatne pomieszczenie, w którym mogła zawisnąć jego sieć antyprzeciążeniowa. Było w nim nawet krzesło, wyposażone w pas bezpieczeństwa, i składany stolik, przynitowany do podłogi. Tęsknił jednak trochę z wspólnym salonem-jadalnią, tak jak na liniowcu, który przywiózł go z Epseri II.

Mimo wszystko, naszła go refleksja, nawet w dzisiejszych czasach podróż nie zawsze może być luksusowa.

Spędził trochę czasu, po tym jak statek przeszedł na napęd międzygwiezdny, na rozpakowywaniu swej niewielkiej walizki. Stwierdził, że aby włączyć golarkę elektryczną, musi udać się do ogólnej toalety, ale poza tym wszystko inne udało się poukładać dosyć wygodnie. Jeden, czy dwóch marynarzy z załogi, dzielących z nim zmianę przy kuchennym blacie, zabrało go do pewnego starego skoczka kosmicznego i zaczęli wymieniać między sobą barwne opowieści.

Tego rodzaju na w pół zawieszone życie wypełniło cztery dni skoku do układu Topaz i dodatkowy dzień niezbędny do podejścia do planety. Kiedy wylądowali, Winstead był jedynym pasażerem, zarówno przylatującym, jak i odlatującym, który pojawił się w szopie ładunkowej, wyznaczonej na budynek administracji portu kosmicznego.

Tutaj, na Topaz IV, urzędnik Agencji, był półetatowym pracownikiem, którego musiano wezwać z kopalni, znajdujących się po przeciwnej stronie miasta. Kiedy przybył, zastał Winsteada drzemiącego na pryczy, z tyłu baraku.

— Billy Callahan — przedstawił się. — Powiedziano mi, że pan nie przyleciał do kopalni?

— Zgadza się — odparł Winstead, przeciągając się, aby rozciągnąć skurcz na plecach. — Tutaj, w tych papierach podane jest miejsce do którego lecę… jeśli zechce pan chwileczkę poczekać…

Znalazł w końcu swoją kartę identyfikacyjną, historię podróży i bilet. Callahan zagłębił się w nich, przeczesując wielką piegowatą dłonią, rude jak marchewka włosy. Kilka minut przekopywania poobijanego biurka, służącego mu za kwaterę główną działalności, pozwoliło na odnalezienie

oficjalnego stempla potwierdzającego przyloty. Jego atramentowy odcisk, idealnie pasował do reszty wpisów.

— A teraz, przejdźmy do pańskiej dalszej drogi — chrząknął Callahan. — W międzyczasie, panie Winstead, czy nie miałby pan ochoty na cygaro?

— Czemu nie – bardzo panu dziękuję.

Winstead z powątpiewaniem obrzucił wzrokiem otrzymaną torpedę. Zastanawiał się, na której planecie wyrósł znajdujący się w niej tytoń – jeśli to w ogóle był tytoń.

— To może zająć krótką chwilę — oznajmił Callahan, traktując końce ich cygar zapalniczką, której płomień byłby w stanie zespawać stalowe belki. — Nie co dzień mamy tu podróżnika lecącego dalej. Muszę trochę pogrzebać w Galatlasie i notatkach transportowych.

Przyniósł z sąsiedniego stołu na swoje biurko potężny katalog i zdmuchnął z niego chmurę kurzu. Winstead z ulgą podchwycił wymówkę, aby wykaszleć dym wypełniający mu płuca. Jego gospodarz wziął do ręki bilet.

— Finalne miejsce docelowe, Fomalhaut VIII — odczytał. — Proszę posłuchać! Tego, to nawet jeszcze nigdy nie obsługiwałem!

Przez kilka minut szperał po wielkim tomiszczu, ponownie sprawdził bilet a potem zagłębił się w dwu, trzech załącznikach. Postukał sterczącą kostką palca u dłoni, o podbródek.

— To mi się nie zgadza, panie Winstead — powiedział w zamyśleniu. — Wygląda na to, że pan w ogóle nie powinien się tutaj znaleźć. Fomalhaut VIII! To diabelnie daleko stąd!

— Urzędnik w ostatnim porcie kosmicznym, też zdawał się myśleć, że to pomyłka — Winstead ostrożnie podsunął.

— Coś się z pewnością obsunęło. Być może ktoś w gorącej wodzie kąpany, źle odczytał kierunki i wysłał pana tyle stopni na południe od Sol, zamiast na północ. Najlepsze, co mogę panu powiedzieć, to że przynajmniej ciągle jest pan generalnie po właściwej stronie od Układu Słonecznego.

— O, Boże! — zawołał podniecony Winstead. — Czy może pan coś z tym zrobić?

— Zależy od tego, jakie statki się tutaj pojawią, jeśli w ogóle jakieś. Na pańskim miejscu, złapałbym pierwszy lepszy, byle stąd odlecieć. Dostać się do jakiegoś większej osady, w której będzie miał pan lepszy wybór dostępnych statków.

Strząsnął popiół z cygara i zapytał, czy Winstead zwolnił kwaterę na pokładzie Stellar Streak. Potwierdzająca odpowiedź, nie zdeprymowała go.

— Mniejsza o to — oznajmił serdecznie. — Jesteśmy zbyt mali, żebyśmy mieli, tu na dole, hotel Agencji, ale znajdę panu w miasteczku jakieś miejsce, w którym będzie mógł się pan zatrzymać.

Zostawili torbę Winsteada pod biurkiem i wyruszyli zniszczonym samochodem naziemnym, w drogę do Topaz City. Osada okazała się prymitywną, rozwalającą się wioską, pełną ścian z niewypalonej cegły i

falistych plastikowych dachów. Rozmaitość kolorów dachów sprawiała wrażenie próby desperackiej wesołości, i pozostawała w kontraście z powszechną ponurością ciemnobrązowych ścian. Kiedy Callahan zatrzymał się, szorując oponami, samochód otoczyła gęsta chmura piachu.

— Psik! — kichnął Callahan. — Kiedyś w końcu będą musieli wyasfaltować ulicę!

Winstead wyciągnął z kieszeni chusteczkę, żeby obetrzeć zalane łzami oczy. Jego piersią wstrząsnął kaszel i wypluł z ust pełną piachu ślinę.

— Bardzo pana za to przepraszam — uderzył się w piersi Callahan. — Powiem coś panu – może nie mamy tutaj jeszcze zbyt wiele cywilizacji, ale mamy za to niewielki salon koktajlowy. Proszę pójść ze mną, postawię panu coś na przepłukanie gardła.

Podróżnik pozwolił, aby gospodarz pomógł mu wysiąść z samochodu, a potem dał się poprowadzić „ulicą" do niskiego budynku, wyróżniającego się małym zatłoczonym parkingiem. Większość z mijanych przez nich mężczyzn i kobiet, wykrzykiwała w stronę jego towarzysza głośnie pozdrowienia. Ubrani byli podobnie, niezależnie od płci, w proste koszule, buty i spodnie o węższym kroju niż konserwatywny strój Winsteada. Został przedstawiony sześciu, czy siedmiu ludziom, których nie spodziewał się już nigdy więcej w życiu zobaczyć.

Cywilizacja pogranicza, wydedukował. Tam, gdzie ludzi jest mało, każdy z nich liczy się za wielu.

Pierwszym, co dostrzegł w salonie, była dziewczyna, gitarzystka. Była pierwszą kobietą, jaką tutaj spotkał, która nie nosiła spodni. Prawdę mówiąc, z trudem był już w stanie sobie wyobrazić, że w miasteczku mógłby żyć ktoś, kto nie był związany z kopalniami. Ta dziewczyna w swym skąpym kostiumie, była wręcz zaskakującym zjawiskiem.

Drugą rzeczą, którą zobaczył, była ściana przyjaznych, ogorzałych twarzy, odwracających się po kolei w odpowiedzi na radosne powitalne pohukiwania Callahana. Trzecią był drink w męskim rozmiarze, który ktoś wepchnął mu w rękę.

Po wysłuchiwaniu przez dłuższy czas repertuaru najwidoczniej dosyć sprośnych piosenek, większość z nich znajdowała się w zbyt wesołym humorze, aby Winstead mógł się do nich przyłączyć. Nasz podróżnik poprowadzony więc został przez Callahana kawałek dalej ulicą, do czegoś w rodzaju restauracji.

Winstead przypominał sobie później, że coś tam jadł, ale co, zapomniał niemal natychmiast, zaraz jak tylko wrócili do salonu koktajlowego, ponieważ niemal natychmiast w dalszej części sali wybuchła pełna latających butelek awantura. Po przywróceniu porządku, była jeszcze jakaś tańcząca dziewczyna, zaś następne wspomnienie to Callahan, potrząsający nim w górę i w dół, na twardym jak skała łóżku, w niewielkim, ciemnym pokoju.

Winstead szybko odkrył, że faktycznie jednak coś jadł. Kiedy w końcu doszedł do siebie, wyruszył za Callahanem na trzęsących się nogach, aby poszukać kuracji. Był jasny słoneczny dzień, ale on nie miał zielonego pojęcia, która jest tutaj godzina. Nieco później, kiedy udało im się znaleźć kurację, zupełnie o tym zapomniał.

— George, zajmij się dla mnie troszeczkę Bobbym Winsteadem — usłyszał jak Callahan mówi do kogoś. — Muszę wpaść do portu kosmicznego, żeby sprawdzić dla niego statek. Zaraz wracam.

Okazana mu gościnność, nieco zawstydziła Winsteada, zaczął się więc dopytywać gdzie mógłby zrealizować czek podróżny. Uzyskane fundusze pozwoliły mu na zakup mniej więcej jednej kolejki na tuzin, oraz na przyłączenie się do chóralnych śpiewów. Między kolejnymi przystankami na ulicy miasteczka, z zapałem wyciągano od niego najnowsze wieści z Terry. Każdy, najmniejszy nawet okruch jego wiedzy bardzo interesował wszystkich napotykanych ludzi.

W pewnej chwili doszedł do siebie, w środku operacji rysowania najnowszych projektów ze świata mody, dla jednej z dziewczyn. Callahan, którego powrót jakoś przegapił, usiłował wyperswadować tej pani pomysł uiszczenia zapłaty za nie, u niej w domu, w geście czystej wdzięczności. Oświadczył, że Winstead ma zaledwie tyle czasu, ile potrzeba na krótką drzemkę.

Kolejnemu przebudzeniu Winsteada, towarzyszyło echo wrzasku przerażenia.

Zapaliło się światło i po chwili zorientował się, że krwiożercze pnącze, które usiłowało go udusić, było w rzeczywistości siecią antyprzeciążeniową. Przed nim zaś unosiła się czyjaś gładko ogolona i zaniepokojona twarz.

Dzięki znacznemu wysiłkowi intelektualnemu, Winstead wydedukował, że twarz dopytuje się, czy dobrze się czuje.

— Dobrze… doskonale… dziękuję… panu — odpowiedział z trudnością. — Czy myśmy się gdzieś już nie spotkali?

— No pewnie! W zeszłym tygodniu, panie Winstead, kiedy przywieźliśmy pana na Topaz IV — oznajmiła twarz.

Winstead spróbował pokręcić głową. Nie bolała – a przynajmniej nie bardzo – ale czuł, że jego myśli są przeraźliwie wolne. Potem wszystko zaczęło wskakiwać na miejsce. Rozpoznał w tym człowieku, drugiego pilota na Stellar Streak. Być może byłoby mu łatwiej, gdyby marynarz nie znajdował się do góry nogami, w stosunku do przekręconej pozycji Winsteada.

Szaleńczo szperał w głowie usiłując sformułować pytanie, które nie zabrzmiałoby jak bełkot kompletnego idioty. Pilot wybawił go od tego.

— Callahan na Topaz IV — pośpieszył z pomocą, — prosił nas o przekazanie panu, że najlepsza trasa jaką dla pana wymyślił, to wysłanie pana z nami na Queen Bess III. To dosyć ważny port kosmiczny, tak więc sądzi, że tam pan znajdzie lepsze połączenia.

— Och. Tak… rozumiem — wymamrotał Winstead.

Rozpiął otwór wejściowy do swojej siatki i ostrożnie się z niej wysunął.

— Mam nadzieję, że wszystko jest w porządku, panie Winstead — powiedział marynarz. — Wiem, że przyleciał pan tutaj, zmierzając na Altair

IV, ale stary Callahan wydawał się myśleć, że wysyła pana na Fomalhaut VIII. Prawdę mówiąc, był mocno natankowany.

— Ja… nie zauważyłem tego — zaprzeczył Winstead. — Proszę mi powiedzieć… Jak długo byliście na Topaz?

— Trzy dni — odparł marynarz. — Musieli tam pana bardzo polubić, panie Winstead. Razem z Callahanem, odprowadził pana do portu kosmicznego wielki tłum ludzi. Sami znaleźliśmy pański bagaż pod jego biurkiem, ale nie mam pojęcia, skąd pan wziął to pomarańczowe ubranie.

Winstead opuścił wzrok, po raz pierwszy widząc swoje ubranie, i wzdrygnął się.

— Ale to było wczoraj — mówił dalej pilot. — Do tej pory musiał pan chyba już trochę zgłodnieć, co? Hej, niech pan poczeka – drzwi są tutaj, panie Winstead!

W ciągu sześciu dni, wliczając w to jeden poświęcony na manewry związane z lądowaniem, dolecieli na Queen Bess III, ważną terrańską planetę, będącą pomniejszym skrzyżowaniem kosmicznych szlaków.

Tutaj, Winstead pożegnał się ze Stellar Streak. Pierwsze kroki skierował do biura łączności. Zostawił tam wiadomość do przekazania Callahanowi na Topaz IV w „najszybszy możliwy sposób” – tj. następnym statkiem kosmicznym lecącym w tym kierunku. Brzmiała ona po prostu: „Dziękuję za wszystko.”

W czystym, pięknie umeblowanym pomieszczeniu poczekalni tutejszego biura Agencji, znalazł całkiem sporą liczbę podróżnych, spacerujących tu i ówdzie. Winstead zapadł w miękko wyściełanym fotelu otworzył torbę i zaczął porządkować swoje papiery. Od zadania tego oderwał się dopiero, kiedy pojawił się przed nim mile uśmiechnięty, siwowłosy mężczyzna. Był mniej więcej wzrostu Winsteada, nieco bardziej krępy, pełen energii.

— Nazywam się John Aubrey — oznajmił. — Myślę, że mogę panu służyć pomocą. Czy zatrzymuje się pan u nas, na Bessie?

— Nie… jestem tu tylko przejazdem — odparł Winstead. — Przyjmuję, że jest pan tutejszym urzędnikiem Agencji?

— Jednym z nich — wyjaśnił Aubrey. — Ach, to pańskie papiery? Dziękuję panu. Możemy od razu przejść do mojego biura, jeśli pan sobie życzy.

Powlókł się między krzesłami, stołami i sporadycznie kręcącymi się podróżnikami, do jednego z całego rzędu biur. Było ono rozmiarów dużej szafy, ale miało pogodny wystrój. Aubrey wskazał Winsteadowi krzesełko, sam zaś usiadł za niezmiernie nowoczesnym biurkiem, aby dopełnić niezbędnych formalności z papierami podróży. Miejsce docelowe na załączonym do nich bilecie Winsteada, spowodowało przerwę w jego pracy.

— Proszę, proszę! — wykrzyknął. — Achernar X! Naprawdę! Musi pan chyba być z rządu, jak się domyślam? Albo jest pan naukowcem? O ile

pamiętam, Achernar raczej nie nadaje się dla ludzi, poza znajdującą się tam placówką badawczą, nieprawdaż?

— Ja… eee… jestem zaangażowany w pewne badania — powiedział Winstead. — To zdumiewające, że tak od ręki przypomniał pan sobie to miejsce.

— To kawał drogi stąd. Interesujące. Zastanawiam się, w jaki sposób mógłbym tam pana dostarczyć. Zdaje się, że ktoś musiał pana wysłać… dobrze, nieważne. Proszę po prostu zdać się na mnie. Oczywiście, zatrzyma się pan w naszym hotelu? Czemu nie, skoro ma pan opłaconą tę usługę, co? Wyekspediuję pana dalej bezzwłocznie.

Samochód powietrzny przetransportował Winsteada na dach hotelu, wznoszącego się ponad sporą metropolią. Pozostawiwszy torbę w pokoju, znalazł hotelowy dom towarowy i zamówił sobie nowe ubranie. Resztę popołudnia spędził na zwiedzaniu miasta, stwierdzając, że równie dobrze mogłoby ono znajdować się na Ziemi. Kiedy wieczorem zasiadł do doskonałej kolacji, zorientował się, że jego apetyt, niestety, nie wrócił jeszcze do normy po pobycie na Topaz IV.

Obudził go przed świtem, delikatny sygnał dźwiękowy zamontowanego koło łóżka ekranu. Muśnięcie włącznika spowodowało pojawienie się na ekranie szczęśliwego oblicza Aubreya.

Czy on nigdy nie odpoczywa? — pomyślał Winstead.

Wcisnął przycisk audio i odpowiedział.

— Dzień dobry, panie Winstead — powitał go energicznie pracownik Agencji. — Bardzo przepraszam, że budzę pana tak wcześnie, ale miałem niezwykłe szczęście i znalazłem panu transport w kierunku Achernara.

— Nie jestem pewien, czy chcę lecieć — wymruczał w swoją poduszkę Winstead.

Aubrey najwyraźniej go nie usłyszał, paplając wesoło dalej. Za pół godziny na dachu hotelu, będzie czekał na Winsteada samochód powietrzny. Pośpiech był konieczny, ponieważ statek odlatywał z portu kosmicznego, odległego o pięćdziesiąt mil od miasta. Naprawdę, Winstead powinien uważać się za szczęściarza, że miał szansę odlecieć tak szybko. Aubrey znalazł statek wyłącznie dlatego, że sprawdził wszystkie prywatne linie kosmiczne. Pomimo wszystko, jednak, Achernar jest naprawdę daleko stąd.

Winstead podziękował mu niewyraźnie, zanim się rozłączył. Potem zadzwonił do hotelowego sklepu, ale otrzymał dokładnie taką odpowiedź, jakiej się spodziewał. Rezygnując z planów zakupu nowego ubrania, wstał i zaczął naciągać na siebie swój stary strój.

Queen Bess jeszcze nie wystawiła nawet czubka swej tarczy ponad horyzont, kiedy samochód powietrzny dostarczył go na niewielką wyspę, na południe od miasta, na której znajdował się port kosmiczny. Na spotkanie z nim stawił się krępy, małomówny cień. W milczeniu wyszli razem z budynku i udali się do statku, który wznosił się nad ich głowami ciemną masą.

— W środku nie ma windy? — spytał Winstead, spoglądając na szkielet rusztowania, wyrastający obok statku.

— Za duże obciążenie.

Owiewani zimnym wietrzykiem, tak długo jechali w górę skrzypiącą platformą, iż Winstead myślał już, że będą musieli dostać się do środka przez sam czubek dzioba tego potwora. Ściskając kurczowo w jednej ręce torbę, a drugą równie kurczowo trzymając się pojedynczej barierki, przeszedł po wąskim pomoście do śluzy powietrznej. Kiedy znaleźli się w środku, ruszył za marynarzem krótkim szybem, o średnicy trzech stóp, kilkukrotnie blokując na drabince swoją torbę. Zeszli do kwadratowego pomieszczenia.

W palącym się tutaj bardziej odpowiednim świetle, marynarz okazał się śniadym mężczyzną, o umięśnionej, poznaczonej ciemnym zarostem twarzy. Miał na sobie obcisłe spodnie, granatową koszulę, a jego kominiarka pewnie kiedyś była biała. Sprawiając wrażenie zajętego pracowitą krzątaniną, pociągnął za położone na poziomie piersi niewielkie drzwiczki w grodzi.

— Poproszę o pańską torbę — polecił.

Winstead wręczył mu ją. Marynarz wsunął ją do czegoś, co wyglądało na całkiem przestronny przedział, pomimo otworu wejściowego o rozmiarze jarda kwadratowego.

— A teraz pan — oznajmił. — Podsadzę pana do góry.

— Do góry, gdzie? — spytał niewinnym tonem Winstead.

— Tam, do środka. To jest pański przedział anty-przyśpieszeniowy. Mnóstwo miejsca. Opancerzony, klimatyzowany, ma swoje własne racje alarmowe powietrza i wody.

Winstead nachylił się, żeby zajrzeć do otworu. Był głębszy, niż mu się wydawało, ale trzystopowy kwadrat nie dawał dużego przekroju, aby się rozejrzeć. Wszystkie powierzchnie w środku były grubo wyścielone i sprężyste w dotyku.

— Tutaj jest włącznik światła — pokazał marynarz, zapalając wewnątrz łagodne oświetlenie. Reszta wyjaśnień i instrukcji znajduje się na tej płycie, koło włazu. No dobrze, a teraz proszę złapać mnie za rękę i wskakujemy do środka, najpierw nogami. Hej-hop!

O ile nie będę musiał tędy w ten sposób wychodzić, pomyślał Winstead, wślizgując się do przedziału z zaskakującą łatwością. Odwrócił się do tyłu i odkrył, że drzwiczki mają małe okienko.

— Proszę się tu rozgościć — powiedział marynarz. — Tylko niech pan nie zapomni zamknąć włazu, kiedy usłyszy pan przedstartowy sygnał brzęczyka. Proszę na niego uważać.

Odwrócił się. Winstead zobaczył, że zagląda do kilku innych niewielkich okienek wzdłuż grodzi.

— Czy są też inni pasażerowie? — spytał Winstead.

— Nie. Tylko sprawdzam, czy cała moja załoga została. Chyba zawsze któryś z nich próbuje wyślizgnąć się przez dyszę przed startem. Nie mam pojęcia, po co w ogóle się mustrują, jeśli nie lubią ryzyka.

— Jakie… jakiego ryzyka?

— To w Agencji panu nie powiedzieli? Pod nami nie ma niczego, poza zbiornikami ze skondensowanym paliwem dla lądowników, przeznaczonym dla stacji na Gelbchen II. To od czasu do czasu wywołuje u niektórych z nich ataki nerwowości. Chodzą na paluszkach, rozmawiają cichutko i nie zdejmują z siebie kombinezonu przeciwchemicznego.

Otworzył z szarpnięciem drzwiczki i skinął głową z ponurą satysfakcją, stwierdzając, że przedział okazał się być pusty.

— Czy to jest niebezpieczne? — spytał Winstead.

Marynarz zaczął obgryzać i tak już bardzo krótki paznokieć u kciuka.

— A co to znaczy niebezpieczne? — w końcu odpalił. — W każdej chwili może pan zginąć pod spadającym samochodem powietrznym.

Winstead zastanowił się.

— A gdzie jest kapitan? — zaczął się dopytywać.

— To ja jestem kapitanem.

— Ale… czy nie powinien pan przygotowywać się do startu?

— Generalnie zostawiam tę robotę swojemu drugiemu pilotowi — oznajmił marynarz.

— Ale dlaczego? Myślałem…

— Dlaczego? Ponieważ to ja jestem właścicielem tego statku, oto dlaczego.

— A co to ma z tym wspólnego? — zauważył Winstead. — Można by pomyśleć, że tym bardziej powinno to pana motywować, aby wszystkiego dopilnować samemu.

— Proszę posłuchać… harowałem przez całe lata w kosmosie, żeby zaoszczędzić na to pudło. Jeżeli wyleci w powietrze, to myśli pan, iż chciałbym wiedzieć, że to moja wina? No, mamy brzęczyk. Proszę zamknąć właz!

Wciągnął się do podobnego przedziału jak Winsteada i zatrzasnął za sobą drzwiczki. Winstead zaczął lekko się pocić, znalazł pasy bezpieczeństwa, przypiął się i oczekiwał najgorszego.

Leaky Dipper pędził przez przestrzeń międzygwiezdną przez pięć cichych, introwertycznych dni, zanim dotarł do małej, żółtej gwiazdy o nazwie Gelbchen. Gwóźdź programu podczas lotu, miał miejsce pierwszego dnia, kiedy jeden z członków załogi upuścił na podłogę tacę z naczyniami z mesy, powodując jedno omdlenie, jeden przypadek palpitacji serca i jedną bójkę na pięści, mniej więcej w takiej właśnie kolejności.

Kapitan spędził dwa dni na błądzeniu po omacku w celu dotarcia na orbitę wokół drugiej planety. Kiedy obwieścił, że ładunek będzie przepompowywany do znacznej liczby miejscowych tankowców, które wzbiły się im na spotkanie z powierzchni, Winstead zgłosił się na ochotnika, żeby pierwszym z nich polecieć na dół.

— Nie winię pana — stwierdził śniady kapitan. — Chętnie sam bym to zrobił. Proszę się nie przejmować, to będzie dobre i uważne lądowanie. Nasz towar stał się teraz znacznie bardziej kosztowny, niż wtedy gdy ładowano go przy wylocie na tę stację.

— To… to wielka ulga — oznajmił Winstead. — Podróż była bardzo interesującym przeżyciem. Do widzenia i powodzenia!

— Nawzajem — odparł kapitan.

„Niech no tylko kiedyś jeszcze spotkam tego Aubreya!” — pomyślał sobie Winstead.

Na powierzchni planety napotkał kwitnącą społeczność, żyjącą w specyficznym środowisku dobrobytu i izolacji. Port kosmiczny stanowił centrum pozwalające na uzupełnienie paliwa i dokonanie napraw. Wspierany był on przez kopalnie i zakłady przetwórcze surowców, oraz na tyle rozwiniętą organizację rolnictwa, aby przeżyć. Standard życia był przyjemnie wysoki, dzięki sprzedawanym i wysoce płatnym usługom; ale pewne zwyczaje uderzyły Winsteada jako niemalże zbyt nieformalne.

— Wydaje mi się, że robi mnie pan w balona! — zawołała szczupła blondynka w kantorze Agencji, dokąd odeskortowano Winsteada z lądowiska. — Nikt nie lata na Leaky Dipperze, jeśli dobrze na tym nie zarabia. Musi pan mieć naprawdę mocne nerwy!

Nachyliła się bezceremonialnie nad ladą i cmoknęła go w policzek. Nie mógł nie zauważyć, że nie wszędzie była taka szczuplutka.

— Zapewniam panią, panno… eee… oto moje papiery.

— Ach, to! Niech pan je da, mam tu gdzieś, w którejś z szuflad, stempelek.

Zaczęła przekopywać ukryte zakamarki pod ladą. Winstead przypomniał sobie przedziały na Leaky Dipperze. Oparł się ze zmęczeniem na jednym łokciu.

— No dobrze, i tak czas już zamykać — oznajmiła dziewczyna. Wsunęła jego papiery do szuflady, ledwie rzuciwszy na nie okiem. — Możemy załatwić tę sprawę jutro, Bob.

— Bardzo szybko pani czyta — zauważył Winstead.

— Zgodnie z dokumentami – Robert L., nieprawdaż? Tylko tego w nich szukałam – twojego imienia. Ja nazywam się Carole, tak żeby uniknąć zbędnych formalizmów. A teraz, ponieważ nie ma już innych statków w rozkładzie, a żadni pasażerowie dzisiaj nie odlatują, chodźmy sobie stąd.

Winstead rozejrzał się wokół siebie, ale mechanik, który przyprowadził go tutaj z lądowiska, zniknął już dawno temu. Inni urzędnicy zajmowali się swoimi własnymi sprawami, nie zwracając na nich najmniejszej uwagi.

Carole wciągnęła się na ladę i przekręciła się przez nią, furkocąc spódnicą. Winstead musiał ją złapać po swojej stronie. Stwierdził, że tak naprawdę nie była chuda w żadnym miejscu.

Schwyciwszy go za rękę, ruszyła w drogę żwawym tempem. Ledwie zdążył złapać swoją torbę z lady, kiedy koło niej przechodzili.

— Będziesz potrzebował jakiegoś miejsca w którym się zatrzymasz — powiedziała. — Założę się, że na tym statku kosmicznym nie przespałeś dobrze ani jednej nocy.

Słowa te tak dalece zgadzały się z opinią samego Winsteada, że zrezygnował z na wpół ukształtowanego impulsu, aby zaprzeć się i zwolnić tempa.

Przemknęli szaleńczym pędem przez szerokie drzwi wyjściowe budynku, wypadając na parking. Carole poprowadziła ich do monstrualnego samochodu naziemnego, który wyglądał tak, jakby jego matka zapatrzyła się na ogromnego tira. Chwilę później przyśpieszali już do międzygwiezdnych szybkości, pędząc ledwie co utwardzoną drogą do miasta.

— Nazywają je Węzłem — poinformowała go Carole. — Można by pomyśleć, że powinni wymyśleć jakąś lepszą nazwę dla jedynego prawdziwego miasta na planecie.

Przemknęli z szumem powietrza przez wąski pierścień przedmieść, dalej wzdłuż boku jakiegoś otwartego placu i zwolnili na dobrze oświetlonej alei, wyglądającej na część dzielnicy rozrywki. Winstead zaobserwował, że większość, zarówno mężczyzn jak i kobiet, przechodzących koło tawern i teatrów, miało na sobie ubrania robocze.

— Właśnie skończyli swoje zmiany, tak jak ja — wyjaśniła Carole.

Jeszcze trochę zwolniła tempo jazdy swojego potwora, wjeżdżając w boczną ulicę. Znaleźli się w dzielnicy cztero- i pięciopiętrowych domów, których metalowe kurtyny ścian sprawiały wrażenie biurowców i lokali biznesowych. Od razu było widać, że część z nich, to apartamentowce.

Carole wjechała w przerwę w rzędzie zaparkowanych pojazdów, podobnych do jej środka transportu. Winstead szybko wyskoczył na zewnątrz, ponieważ jego gospodyni wyglądała jakby miała zamiar przeczołgać mu się przez kolana, żeby dosięgnąć do drzwi. Z namysłem wpatrywał się w samochód.

— Okropne pudło, co nie? — stwierdziła blondynka. — Muszą je robić w taki sposób, aby łatwo można było je przystosować do przewozu towarów. Na Gelbchen II liczą się tylko statki kosmiczne. Wszystko inne – włączając w to i nas – to nędzne resztki, z których można zrezygnować przy tej robocie. No cóż, wejdźmy do środka.

„Naprawdę muszę być bardzo zmęczony” — pomyślał Winstead, potulnie podążając za dziewczyną do holu budynku.

W środku, na drewnianych prymitywnie wykonanych krzesłach, rozsiadało się dwóch młodych ludzi w kombinezonach roboczych. Na widok wchodzącej Carole jeden z nich zerwał się na nogi. Kiedy zmierzał w ich stronę, Winstead obejrzał się przezornie do tyłu, aby upewnić się, że drzwi są otwarte.

Odwrócił się z powrotem akurat na czas, by stwierdzić że młody człowiek obejmuje Carole w entuzjastycznym uścisku. Oboje stopili się razem w namiętnym pocałunku. Potem młody człowiek cofnął się o krok, spojrzał na zegarek na ręku i pośpieszył do drzwi.

— Dobrej nocy, maleńka — zawołał do niej przez ramię.

Carole beztrosko pomachała mu ręką. Złapała Winsteada pod ramię.

— To był Wilfie — wyjaśniła. — Mamy zamiar się pobrać, jeśli uda nam się kiedyś dostosować do siebie nasze zmiany w pracy. Mam nadzieję że nie spóźni się przeze mnie, biedaczek – to była jedyna szansa, aby mógł się dzisiaj ze mną zobaczyć.

Winstead ledwie był świadom, że skierowano go do windy. Kiedy znaleźli się na drugim piętrze, Carole poprowadziła go po kilku stopniach i dalej korytarzem. Użyła prostego klucza świetlnego do otwarcia drzwi do mieszkania. Winstead bez słowa wszedł za nią do środka.

— Daj mi swoją torbę — powiedziała. — Tutaj jest sypialnia. Założę się, że na statku kosmicznym nie miałeś tak dużego pokoju.

— No cóż…

— A teraz chodźmy do kuchni i zobaczmy co uda nam się zorganizować dla ciebie na kolację. Mogę cię porządnie nakarmić, bo przyznałam ci kwotę pięćdziesięciu kredytów na nocleg.

Winstead z najwyższym wysiłkiem, zachował milczenie.

Zastanawiał się, jak wiele zdradza jego mina. Carole zdawała się niczego nie zauważać. Szczebiotała coś o szaleństwie próby znalezienia miejsca w jednym z nielicznych hoteli, którymi szczyciło się miasto Węzeł. Większość z nich, jak twierdziła, pełna była hulających przybyszów z kosmosu. W międzyczasie wyciągnęła paczkę mrożonego jedzenia.

Winstead zgodził się na coś zafoliowanego w paczce, nie wiedząc nawet co to jest. Wepchnęła jedzenie do automatycznego podgrzewacza na podczerwień. Pozwolił się zaprowadzić pod rękę do dużego fotela w pokoju dziennym.

— Tu masz program audycji rozrywkowych w TV — wyjaśniła mu. — Co prawda nie mamy ich tutaj zbyt wiele – większość to stare taśmy z Terry. Rozgość się tutaj, a ja się przebiorę.

Trajkocząc zniknęła w sypialni, pozostawiając Winsteada trzymającego program w luźno opuszczonej ręce. Rozejrzał się po pokoju. Dostrzegł dwie pary drzwi, wyjściowych lub prowadzących do pokoi, których mu nie pokazała. Sądząc z tego, co był w stanie dostrzec z miejsca w którym siedział, mieszkanie było komfortowo wyposażone, na całej podłodze, od ściany do ściany, rozłożony był elastyczny sztuczny dywan, meble w prostym stylu Gelbchen wyglądały na nowe. Carole zdawała się lubić czerwień i inne jaskrawe kolory. Tylko pastelowe ściany zapobiegały katastrofie.

„Czy to jest warte pięćdziesiąt kredytów?” — spytał się w duchu. — „Z drugiej strony, jeśli pójdę sobie stąd poszukać hotelu, czy nie będę miał potem problemów ze znalezieniem odpowiedniego statku?”

Popatrzył niezdecydowanie na drzwi do sypialni, w której zniknęła Carole. Pozostawiła je nieznacznie uchylone. Mniej więcej w tym samym czasie uświadomił sobie, że z kuchni dolatuje cichy sygnał dźwiękowy.

Dźwięczał on przez jakiś czas, zanim Winstead zorientował się, że musi sam sprawdzić co się dzieje. Wszedł do kuchni i stwierdził, że na automatycznym podgrzewaczu wyświetla się niewielki znak oznaczający „Gorące!”.

Domyślił się, który przycisk otwiera drzwiczki urządzenia, rozejrzał się po kuchni, znalazł tacę i szczypce, i wyciągnął z podgrzewacza swoją kolację. Po kilku kolejnych chwilach poszukiwań, miał również i sztućce. Rozdarł foliowe opakowanie stwierdzając, że trafił mu się zestaw złożony z rostbefu, purée ziemniaczanego i jakichś dwóch warzyw, których na Ziemi nigdy wcześniej nie spotkał.

Carole ciągle jeszcze się nie pojawiła, zaniósł więc tacę do aneksu jadalnego, wyposażonego w brązowe metalowe krzesła i stół. Wyglądało to na obiad dla jednej osoby, zastanowił się, ale był przecież na takiej dziwnej planecie. Kiedy tak wahał się co zrobić, drzwi sypialni otworzyły się i za jego plecami rozległy się kroki.

— Jedz i smacznego — zawołała Carole. — Tam w szafce z boku jest wino. Potem rozgość się na noc.

Winstead odwrócił się. Dziewczyna pochylała się, aby zapiąć zamek na przedzie jednego z butów. Ubrana była w kombinezon o tak jaskrawo żółtej barwie, że Winstead aż zamrugał.

— Ja wychodzę — oznajmiła radośnie. — Pracuję na drugą zmianę jako kierowca ambulansu. Mówię ci, konieczność pokrycia kosztów życia na Gelbchen II, to jeden wielki wyścig szczurów! Jeśli mogę przyjąć w domu gościa z portu kosmicznego, to duża pomoc, ale Wilfie chce żebym z tym skończyła kiedy się pobierzemy.

Pomachała mu ręką na pożegnanie i pośpieszyła do windy.

Winstead zastanawiał się, czy powiedział jej dobranoc.

Po paru minutach zorientował się, że opiera się o blat stołu, trzymając jeden z palców w gorących ziemniakach. Wyprostował się i uważnie obejrzał rzeczony palec. Po chwili zastanowienia zlizał z niego ziemniaki, znalazł widelec i zaczął grzebać z powątpiewaniem w czymś, co tutaj uchodziło za warzywa…

Obudził się następnego dnia rano z ukłuciem zaskoczenia, że nie znajduje się ani w sieci antyprzeciążeniowej, ani w grubo wyłożonym przedziale statku. Łóżeczko było mięciutkie. Wręcz zapraszało, by przewrócić się na drugi bok, na kolejne pół godzinki drzemki, w delikatnie pachnącym perfumami pokoju.

Perfumy?

Sypialnia… Carole!

Winstead poderwał się wyprostowany, czując jak wraca mu pamięć.

Panowała kompletna cisza. Odrzucił elektryczny koc, sprawdził zegar, który powinien być ustawiony na czas planetarny, i zdecydował, że to chyba jest wczesny ranek. Filtry naokienne wyświetlały losowo dobierane wzory, zalewając pokój radosnym światłem słonecznym, dosyć podobnym do blasku terrańskiego poranka. Winstead podszedł delikatnie do drzwi i uchylił je lekko. Pokój za nimi był ciemny i cichy.

Umył się w przyległej łazience i pośpiesznie się ubrał. Poczuł się lepiej przygotowanym na wydarzenia nadchodzącego dnia, wyruszył więc na poszukiwania śniadania. Pierwsze, co napotkały jego oczy, to widok Carole śpiącej na kanapie pod niebieskim kocem, podłączonym do gniazdka stojącej na podłodze lampy.

Myśl o pięćdziesięciu kredytach, powstrzymała jego odruch, by pogłaskać ze współczuciem blondynkę po głowie. Wykorzystał tę myśl jeszcze do stłumienia lekkich wyrzutów sumienia za zajęcie jej łóżka.

„Mimo wszystko”, pomyślał sobie, „należy mi się jednak śniadanie. Ona pewnie jest kompletnie wykończona, ale to są skutki dorabiania po godzinach. W końcu to jej planeta, a nie moja”.

Winstead ruszył na paluszkach do wejścia do kuchni, wślizgnął się ukradkiem do środka i zamknął za sobą drzwi najciszej, jak tylko było to możliwe.

Dwóch mężczyzn jedzących śniadanie przy niewielkim stoliku, obdarzyło go przyjaznymi spojrzeniami.

— Łełełe! — wybełkotał Winstead.

— Dzień dobry — odparł jeden z mężczyzn, który miał na sobie raczej damski szlafrok.

Drugi, rumiany osobnik wyglądający na farmera, chrząknął coś z ustami wypełnionymi tostem.

— Bardzo panów przepraszam — powiedział Winstead.

— Musi pan być kolejnym podróżnikiem międzygwiezdnym — stwierdził dżentelmen w szlafroku. — Wiedzieliśmy, że musiał pojawić się ktoś nowy, kiedy zobaczyliśmy Carole na kanapie. Mam nadzieję, że wyekspediuje pana stąd szybciej, niż trwa znalezienie statku dla mnie.

— Pan czeka na statek kosmiczny? — zapytał Winstead.

— Obecnie już od ponad dwu tygodni — wyjaśnił jego rozmówca. — Ta mała zachowała się w stosunku do mnie całkiem fair. Ponieważ nie była w stanie wyekspediować mnie w kierunku Epseri, dała mi zniżkę na mój pokój.

— Proszę siadać i poczęstować się jajkami — zaprosił farmerowaty. — Sam przywiozłem je do miasteczka, razem z innymi moimi produktami.

Winstead przyjrzał się talerzowi pełnemu usmażonych jajek. Były zdecydowanie za duże, aby mogły pochodzić od kur, ale wyglądały nieźle. Zdecydował, że lepiej nie pytać.

Kiedy przyłączył się do nich przy stole, okazało się, że farmer miał w zwyczaju zatrzymywać się u Carole zawsze, kiedy tylko przybywał do Węzła w interesach. Podróżnik, który nazywał się Cecil Feigelson, usprawiedliwił konieczność pożyczki szlafroka od Carole, szczupłością bagażu dozwolonego dla podróżników kosmicznych i faktem, że na tak długo musiał się musiał się tu zatrzymać. Pozostali zapewnili go, że doskonale mu jest w różowym.

Winstead osuszył filiżankę miejscowego substytutu kawy, zastanawiając się czy nie nalać sobie następnej.

— Wie pan — zauważył z namysłem — trudno sobie wyobrazić, że potrzeba aż tak dużo czasu na znalezienie statku zmierzającego na Epseri. Ja… eee… akurat również udaję się w tę stronę. Podejrzewam, że uważne przejrzenie rozkładów lotów w porcie kosmicznym, mogłoby przynieść rozwiązanie tego problemu.

— Ale Carole jest urzędniczką która się na tym zna.
— Tak się składa, że ja również co nieco wiem o tym jak to się robi — spokojnie oświadczył Winstead. Dodał: — Po prostu bardzo dużo podróżuję.
— No cóż, jeśli myśli pan, że cokolwiek da się zrobić, jestem w pełni za tym.
— Kiedy dzieciak się obudzi, mogłaby panów podwieźć — zasugerował farmer.
— Zorganizowanie tego powinno zająć tylko chwilę — odparł Winstead, wstając aby napełnić dzbanek wodą z lodem. — „Pięćdziesiąt kredytów za noc!" — pomyślał. — „Czekajcie, niech no tylko dostanę w ręce jej rozkłady lotów!"
Zaledwie pięć minut później, wysypali się z windy w holu budynku. Carole ciągle była mocno ponura i gniewna. Zamek błyskawiczny walizki Cecila Feigelsona zapięty był jedynie w trzech czwartych. Na szczęście, miał on na sobie pod szlafrokiem dziewczyny spodnie. Szam szlafrok jednak gryzł się straszliwie z pomarańczowym wymiętoszonym ubiorem Winsteada.
— Hej! — wykrzyknął ktoś, kiedy pędzili przez hol.
Młody Wilfie wyskoczył z krzesła, na którym wydawał się drzemać.
„Czy on nie ma swojego domu?" — dziwił się Winstead.

Zanim dotarli do zaparkowanego na zewnątrz samochodu naziemnego Carole, młodzieniec jakoś wkręcił się do grupy w miejsce farmera. Winstead uruchomił silnik, podczas gdy pozostali sadowili się na fotelach.
— Przyjacielu, czy wie pan jak prowadzić tego rodzaju pojazd? — spytał Feigelson.
— Jestem doświadczonym kierowcą samochodów naziemnych — zapewnił go Winstead.
Niestety, wkrótce zmuszony był przyznać, że dobrze zna się na samochodach terrańskich, które unosiły się na poduszce powietrznej. Chociaż wyboje na drodze do portu kosmicznego, przy szybkości którą rozwinął, powodowały całkiem częste unoszenie się w powietrzu, to jednak pojazd z Gelbchen tak naprawdę zaprojektowany został do rzadziej przerywanego kontaktu kół z ziemią.
Jednak, podróż wydawała się krótsza, niż poprzedniego wieczora. Winstead zahamował wizgiem opon w miejscu do którego zmierzali, ze zdumieniem stwierdzając, że lekko się spocił. Jego pasażerowie spocili się znacznie bardziej i zostali kilka jardów z tyłu, podążając za nim do wejścia terminalu, i dalej do kantorka Agencji.
Kiedy dotarli na miejsce, nadal bladzi jak ściana, Winstead siedział już zanurzony po uszy w rozkładach lotów i czystych formularzach. Paru przechodzących urzędników, z ciekawością popatrywało na wykończony różowymi falbankami szlafrok Feigelsona, ale byli oni przyzwyczajeni do różnorodności pozaplanetarnych strojów.

— Hej, czekaj! Ten Galatlas, który drzesz na kawałki, należy do mnie! — zaprotestowała zdyszana Carole.

— Czy jesteś tego pewna, moja droga? — spytał Winstead zawzięcie przerzucając strony. — Ha! Dokładnie tak, jak myślałem – ten krążownik, który tam wylądował żeby uzupełnić zapasy, Virgo, leci dalej na New Ceres. Feigelson, Galatlas twierdzi, że New Ceres leży w połowie drogi do Epseri!

— Wilfie! — rozpłakała się Carole. — Każ mu przestać demolować to miejsce jak kowbojski saloon! Popatrz tylko na ten stos folderów, porozrzucanych po całej podłodze!

Wilfie poderwał się do działania, ale przyhamowała go lada, jako że razem z Carole i Feigelsonem znajdował się po jej niewłaściwej stronie.

— Co pan sobie wyobraża? — wykrzykiwał wojowniczo. — Poza tym, skąd pan się tutaj wziął?

— Przyleciałem z Terry — wyjaśnił Winstead, przerywając na chwilę wypełnianie formularza — i mam coraz większą ochotę tam wracać. Łączenie wakacji z biznesową podróżą inspekcyjną, czasami staje się zbyt ekscytującym zajęciem, dla człowieka w moim wieku.

— Podróż inspekcyjna? — powtórzyła Carole, sztywniejąc w bezruchu.

— To moje hobby — mówił dalej Winstead. — Pozwala to na zachowanie kontaktu z ludźmi, wprawiającymi Agencję w ruch. To miejsce, na przykład, to chyba najbardziej niedbałe, zdezorganizowane… Młody człowieku! Odchodzisz ze swoich posad i przejmujesz ten oddział Agencji Podróży Międzygwiezdnych. Nie dyskutuj – oczywiście, że możesz to zrobić! Jak ty się właściwie nazywasz?

— Ja? — wysapał Wilfie. — Wilfred Evans.

— W porządku, Evans, masz robotę. Tylko ty możesz się z nią ożenić i skończyć z tym całym nonsensem wynajmowania pokoi, podczas gdy gromady statków wylatują stąd bez naszych pasażerów!

— Jakie masz prawo do tego, aby… — zaczęła z oburzeniem Carole.

— Pierwszy test dla nowego głównego agenta — przerwał jej Winstead, skrobiąc coś na karcie wizytowej — polega na tym, czy wie on kiedy powiedzieć swojej asystentce, żeby zamknęła gębę.

Wilfie odebrał od niego wizytówkę i rzucił okiem zarówno na wydrukowany tekst, jak i dopisek.

— Zamknij gębę — polecił Carole odwracając się przez ramię.

Zamarła w milczeniu, z otwartymi ustami, stojąc mniej więcej w tej samej odległości, co Feigelson. Winstead rozejrzał się za miejscowym zegarem i szybko złapał jeden z papierów porozrzucanych po całym kantorku. Wypisana na nim godzina odlotu spowodowała, że zaklął pod nosem. Skoczył do telefonu Carole, włączył głos i wizję jednym pociągnięciem kciuka.

Blondynka nieśmiało zrobiła krok do przodu, tak by odczytać kartę z nominacją Wilfiego.

— Robert Winstead Lewis, Terra… Prezes, Agencja Podróży Międzygwiezdnych…

— Winstead! — wykrzyknęła twarz na ekranie telefonu.

— Ty im powiesz kim jestem — polecił Winstead, podnosząc kolejną z ze swoich wizytówek do skanera. — Udało się im zatrzymać statek przez trzy minuty, tak żebyśmy zdążyli dostać się na jego pokład!

Wyłączył telefon, otarł czoło grzbietem dłoni i ruszył biegiem wokół lady. Carole zakołysała się słabo, wpadając w troskliwe ramiona Feigelsona.

— A teraz, posłuchajcie! — rzucił ostro Winstead. — Ten oddział będzie kontrolowany w najbliższej przyszłości, Evans! Ufam, że należysz do ludzi potrafiących okazać silny charakter, kiedy po powrocie do domu znajdą w swojej sypialni jakiegoś podróżnika międzygwiezdnego.

Plasnął mocno płaską dłonią w ladę, udając, że nie zwraca uwagi na Carole. Wilfie skinął z zamyśleniem głową.

Robert Winstead Lewis przywołał machnięciem jakiegoś pechowego bagażowego, jadącego pustym wózkiem na bagaże.

— Feigelson, przynieś torby! — zakomenderował, wskakując na wózek i wpychając się za kierownicę. — Przynajmniej do New Ceres dolecimy pierwszą klasą!

Nabierając szybkości mały samochodzik zakręcił z piskiem i pomknął w stronę wyjścia z portu kosmicznego. Bagażowy oglądał się do tyłu z wyrazem przerażenia na twarzy, różowy szlafrok po raz ostatni załopotał obok pomarańczowego stroju i zniknęli za drzwiami.

Powietrze wokół zdezorganizowanego kantorka i jego zreorganizowanej obsługi jeszcze przez parę minut wibrowało niespokojnym echem.

Wreszcie do środka przeniknął, dobiegający z oddali ryk wznoszącego się w kosmos statku, i przywrócił poczucie względnego spokoju.

KONIEC